

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 7140·— Mk. z przes. 7400·— Mk. Półrocznie 14800·— Mk. Rocznie 29600·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.



Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 600 Marek.

Rok XX. Kraków, 6 stycznia 1923. Nr. 1.

Walka z opryszkiem w rzece

(Artykuł do ryciny na stronie drugiej.)

TRESC NUMERU: Od Wydawnictwa — Walka z opryszkiem w rzece — Uroczyste wręczenie kapeluszy nowo mianowanym kardynałom — Stulecie wielkiego uczonego — Uroczystość górnicza — Uczczenie zasłużonego pedagoga — Ciekawe odkrycie archeologiczne — Akademia ku uczczeniu 100 rocznicy urodzin A. Petöfi'ego — Po konferencyi londyńskiej — Koalicyjna straż nad Renem — Automobilem przez Saharę —



OD WYDAWNICTWA.

Rozpoczynając numerem niniejszym 20. rok naszego wydawnictwa, możemy z dumą spojrzeć na ten miniony okres naszej pracy. W chwilach dziejowego przewrotu, który po krwawej pożodze wojny światowej przyniósł nareszcie upragnioną niepodległość, wytrwaliśmy na ciężkim posterunku pomimo trudności, z jakiemi nasze wydawnictwo musiało i musi walczyć od chwili wybuchu wojny Brak najniezbędniejszych materyałów i szalejąca drożyzna stwarzały niezmiernie ciężkie warunki, zwłaszcza dla takiego wydawnictwa, jak *Nowości Illustrowane*, które były i są **jedyną w Polsce**

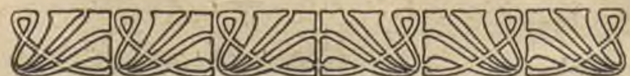
illustracyą chwili bieżącej.

Mimo to pokonaliśmy wszyst ie trudności w poczuciu obowiązku, jaki na nas ciąży. W chwilach tak doniosłych dla narodu polskiego przyświecał nam jed n jedyny cel: uczynić z *Nowości Illustrowanych* **najwierniejsze, bo utrwalone na kliszy fotograficznej**

zwierciadło dziejowych wydarzeń

jakie przeżywamy, a przedewszystkiem bezpartyjną **illustrowaną kronikę odradzającej się Polski.**

Ten cel będzie nam przyświecał i w dalszym ciągu naszej pracy Nie poskąpimy starań, aby przez podniesienie zarówno redakcyjnej, jak i technicznej strony pisma uczynić z *Nowości Illustrowanych* możliwie najpełniejsze odbicie wielkich chwil, jakich Opatrzność dozwoliła nam dożyć. W tych usiłowaniach musi jednak pomódz nam czytający ogół przez popieranie naszego wydawnictwa Ufni w to poparcie i pomoc, rozpoczynamy nowy, da Bóg, lepszy okres naszej działalności na pożytek Ojczyzny



Od Administracyi.

Ciągły wzrost drożyzny materyałów, jak papieru, farb, chemikaliów itp, oraz podwyżka płac zmusza nas do **podniesienia ceny** *Nowości Illustrowanych* To nieznaczne podniesienie prenumeraty nie stoi jednak w żadnym stosunku do olbrzymiego w ostatnich czasach podrożenia towarów, jak i robocizny. Jedynie fakt, że *Nowości Illustrowane* posiadają własne zakłady drukarskie i cynkograficzne, pozwala nam **utrzymać cenę pisma w tak skromnych w stosunku do ogólnie panującej drożyzny rozmiarach** i tem samem uczynić je dostępnem dla najszerszych kół Nie wątpimy, że nasi P. T Czytelnicy, odczuwający na sobie dotkliwie orgiję drożyźnianą, ocenią to należycie, nie skąpiąc nam nadal swego poparcia

Od dnia 1-go stycznia 1923 roku cena *Nowości Illustrowanych* wynosi:

kwartalnie . . .	7400 Mp.
półrocznie . . .	14800 „
rocznie . . .	29600 „

Pojedynczy Nr. kosztuje 600 Mp.

Walka z opryszkiem w rzece.

(Do illustracyi tytułowej.)

Przejściowy okres powojenny, jaki przeżywa obecnie nie tylko Polska, ale cała Europa, zaznaczył się, niestety, olbrzymim wzrostem przestępstw. Napady bandyckie i zbrodnie są na porządku dziennym, a służba bezpieczeństwa publicznego stoi często wobec zadań, które przechodzą jej siły. Jakkolwiek dają się często słyszeć z tego powodu skargi na tworzący się dopiero w państwie aparat policyjny, nie brak faktów, które chlubnie świadczą o poczuciu obowiązku ze strony funkcyonaryuszy policyjnych, narażających swe życie w walce ze zbrodniczemi jednostkami i bandami. Jeden z takich faktów notują kroniki policyjne z ubiegłych świąt.

We wsi Dobczyn, w gm. Klembów, w pow. Radzymińskim, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, na tle osobistych porachunków, zamordowany został mieszkaniec gm. Ręczaje tegoż powiatu, Feliks Kostrzewa. Morderstwa dokonali: Stanisław Makjan i Franciszek Pilarczyk, mieszkańcy tejże wsi Dobczyn, oraz Stanisław Pilarczyk, mieszkaniec Stanisławowa, w pow. mińsko-mazowieckim, Kostrzewa zamordowany został nożami.

Zabójcy zostali po kolei wyłapani przez policyę radzymińską. W końcu schwytano ostatniego zabójcę Stanisława Pilarczyka. Prowadził go do komendy policyi posterunkowy Andrzej Koński. W drodze, przy przejściu przez most, Pilarczyk przechylił się nagle przez baryerę i wskoczył do rzeki. Koński nie zastanawiając się wiele, uczynił to samo, wskoczył do wody, która sięgała w tem miejscu 4-ch metrów głębokości. Posterunkowy pomimo ciężkiego uzbrojenia, podpłynął do Pilarczyka i wywiązała się walka w wodzie na śmierć i życie. Głębokość wody nie pozwalała na opanowanie sytuacyi policyantowi, zaczął więc tonąć. Zabójca też męczył się i, straciwszy przytomność, zaczął tonąć. Na szczęście było to w pobliżu wsi i ktoś zauważył skaczących do wody dwóch ludzi. Zaalarmowano wieś Kraszew, nadbiegli chłopi, obu tonących wydobyto z wody i przyprowadzono do przytomności.

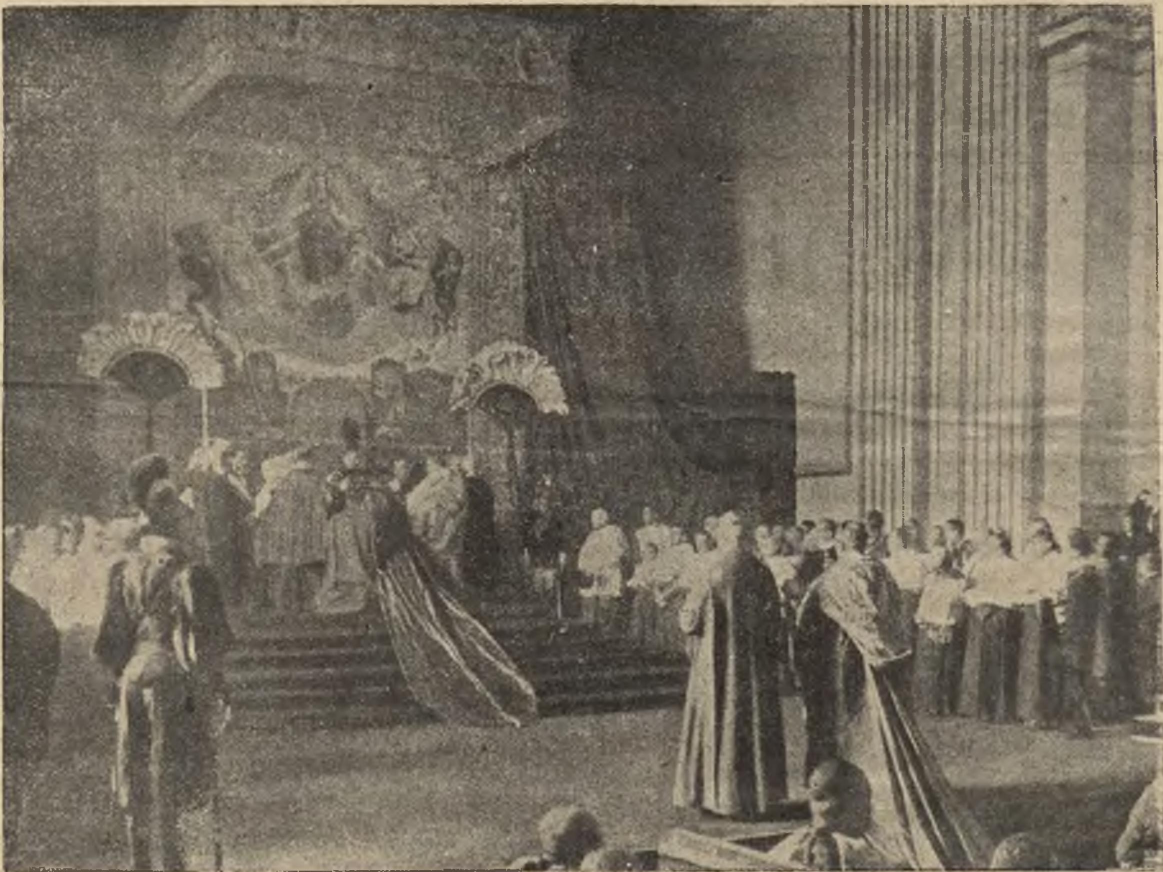
Gdy potem sprawa została wyjaśnioną, chłopi chcieli wykonać samosąd nad zabójcą i zaczęli już bić go kłonicami, dopiero energiczna postawa poskromiła kmieci i Pilarczyk został doprowadzony do komendy.

Uroczyste wręczenie kapeluszy nowo mianowanym kardynałom.

Uroczyste wręczenie kapeluszy kardynalskich, jako widomy znak podniesienia prałata do godności księcia Kościoła, odbywa się w Rzymie według podniosłego, starodawnego ceremoniału. Obrzędy te są stosunkowo dość rzadkie, stanowią zatem dla Rzymu wydarzenie dnia, ściągające do Watykanu liczne rzesze wiernych, z których jednak niewielu tylko uzyskuje karty wstępu, zastrzeżone przedewszystkiem dla arystokracyi rzymskiej, wiernej Papieżowi. Ceremonii dokonuje osobiście Ojciec św. wobec świętego Kollegium, dworu papieskiego i ciała dyplomatycznego, akredytowanego przy Watykanie i członków Zakonu Maltańskiego.

W dniu 14. grudnia ubiegłego roku byli Rzymianie świadkami podobnej uroczystości. W wielkiej Sali Benedykcyi dokonał Papież Pius XI. wręczenia kapeluszy nowo mianowanym kardynałom, tym razem Francuzom z pochodzenia, biskupowi Orleanu, ks. Touchet i arcybiskupowi z Rennes, ks. Charost, przedtem w czasie inwazyi niemieckiej i okupacyi biskupowi w Lille. Po ceremoniach, przepisanych rytuałem i włożeniu na głowy nominatów przez Papieża kapeluszy kardynalskich, przemówił do nowych książąt Kościoła mons. Callon di Vignale, podnosząc ich zasługi, zwłaszcza zaś byłego biskupa z Lille, żarliwego obrońcy praw Kościoła w czasie okupacyi niemieckiej.

W wielkiej sali zjawiła się licznie tak rzymska arystokracya, jak i przedstawiciele kolonii francuskiej, prasa francuska z zadowoleniem wspomina o podniesieniu do godności kardynałów dwu francuskich prałatów, co jest dowodem coraz silniejszego zbliżenia między Watykanem a Republiką, nawiązanego ponownie dopiero w ostatnich czasach.



Uroczyste wręczenie kapeluszy nowo mianowanym kardynałom: Ojciec św., Pius XI. w wielkiej Sali Benedykcyi dopełnia w dniu 14 grudnia ub. r. ceremonii włożenia kapeluszy kardynalskich dwu francuskim prałatom.

Stulecie wielkiego uczonego.

Francya, a z nią cały świat cywilizowany obchodził w ubiegłym miesiącu setną rocznicę urodzin Pasteura. Do Instytutu pasteurowskiego w Paryżu przybyły liczne delegacye, a w kościele św. Jakóba odbyło się nabożeństwo za spokój duszy wielkiego uczonego, celebrowane przez arcybiskupa Paryża.

Ludwik Pasteur urodził się dnia 22 grudnia 1822 r. w miejscowości Dole, we Francyi. Ojciec jego pochodził ze starej i szanowanej rodziny, zamieszkałej w malowniczej, górzystej okolicy nad granicą szwajcarską niedaleko miasteczka Levier. Przodkowie Pasteura trudnili się pasaniem bydła, ojciec jego zaś był garbarzem. Cała rodzina mieszkała w małym domku, prześlicznie położonym nad brzegiem jeziorka, pokrytego kwieciem nenufarów i otoczonego gajem brzóz płaczących. Domek ten zachowany w całości takim, jakim był w dniu urodzin Pasteura, przemieniony jest teraz na muzeum pamiątek po wielkim uczonym. Nad wejściem wmurowano tablicę z napisem: „Tutaj urodził się Pasteur".

W tym pięknym zakątku, w ciepłej i jasnej atmosferze rodzinnej upłynęła młodość Pasteura. Następnie był nauczycielem w liceum w Besançon, profesorem fizyki w Dole, dalej uczył i sam stu-

dyował w Strassburgu i w Paryżu, w pocie czoła zdobywając wiedzę, która go doprowadziła do sławy.

Pasteur był twórcą ochronnej metody szczepienia zarazków i metodę tę zastosował do leczenia ludzi pokąsanych przez psy wściekłe. Na tem polu położył on nieocenione zasługi dla cierpiącej ludzkości.

W r. 1889 złożył on wszystkie urzędy, by objąć kierownictwo „Instytutu Pasteura", założonego ze składek publicznych, który prowadził aż do śmierci.



Stulecie wielkiego uczonego: Ludwik Pasteur w swem laboratoryum.



Stulecie wielkiego uczonego: Wejście do krypty Instytutu Pasteura w Paryżu.

Z okazyi setnej rocznicy urodzin Pasteura pisma francuskie przypominają, że pierwszym, któremu Pasteur uratował życie, dzięki swemu genialnemu wynalazkowi, był 10-letni chłopczyk Józef Meister, drugim zaś pastuszek, pochodzący z tej samej okolicy, co uczony — Jan Babtysta Jupille. Historya pastuszka i jego dzielność znane są w całej Francyi, a bohater jej żyje jeszcze i bierze udział w uroczystościach ku czci swego wybawcy.

Pewnego pięknego jesiennego dnia, w październiku 1885 r. Jupille wraz z towarzyszami pilnował bydła, które pasło się na łące niedaleko rzeki Loary.

Wśród innych pastuszków Jupille był najstarszy i najodważniejszy. Chłopcy bawili się wesoło, gdy nagle na drodze ukazał się wielki pies, któremu



Uroczystość górnicza: Grupa uczestników uroczystości poświęcenia sztandaru kopalni „Triumwirat" pod Olkuszem: 1.) Dyrektor kopalni, inżynier Gorzkowski, 2.) ks. proboszcz z Bolesławia, 3.) Kierownik, Józef Ostrowski, 4.) Chrzestny ojciec sztandaru, Józef Jeziorowski, 5.) Chrzestna matka sztandaru, robotnica Leokadya Michalska.
Fot. Adam Dębiec, Olkusz.

piana toczyła się z pyska. Nie było wątpliwości, że pies jest wściekły.

Co czyni Jupille? Chłopakom wydaje krótki rozkaz uciekania co im sił starczy, a sam zostaje, aby wstrzymać atak zwierzęcia. O kilka kroków zatrzymał się też brat Janka mały Emil. Pies rzuca się na pastuszka i rozpoczyna się krwawa, zacięta walka. W pierwszej chwili pies odgryzł chłopcu duży palec, ubezwładniając tym sposobem prawą jego rękę. Mimo szalonego bólu chłopak nie ustępuje i doprowadza do tego, że ciężarem swoim przygniata psa. Chciałby zdjąć z nogi drewniany sandał i dobić nim psa, ale jedną ręką nie może podołać zadaniu. Dopomaga mu Emilek. Podaje mu sandał i bat, którym wreszcie dobija zwierzę. Z obawy, aby pies jeszcze nie ożył obaj chłopcy przyciągają go na brzeg rzeki i rzucają do wody.

Po chwili zbiegli się ludzie z całej wsi. Psa wyciągnięto z wody, dokonano sekcyi, która wykazała, że był wściekły. Notaryusz z miasteczka wysłał natychmiast chłopca do Pasteura, który niezwłocznie zajął się wyleczeniem go.

Od tego czasu chłopak nie rozstawał się już z uczonym. Z trudem, ale nauczył się czytać, potem pielęgnował zwierzęta do doświadczeń laboratoryjnych, wreszcie został dozorcą Instytutu Pasteura w Paryżu.

Dzielny pastuszek w tych dniach przeżył piękną chwilę. Na łące, gdzie niegdyś stoczył walkę z psem, stanął jego pomnik, przy odsłonięciu którego był obecny prezydent Republiki francuskiej.



Uroczystość górnicza: Widok kopalni „Triumwirat" pod Olkuszem 1.) i 2.) szyby, 3.) biura.
Fot. Adam Dębiec, Olkusz.

Uroczystość górnicza.

Na kopalni rudy żelaznej „Triumwirat" pod Olkuszem odbyła się w dniu św. Barbary, patronki górników, piękna uroczystość poświęcenia sztandaru, ufundowanego przez robotników i funkcyonaryuszy kopalni. O godzinie 10-tej przed południem przy dźwiękach orkiestry górniczej, liczny orszak pracowników kopalni ruszył do odległego o cztery kilometry kościoła w Bolesławiu, gdzie dokonano poświęcenia sztandaru. Po powrocie z kościoła odbyła się w domu kopalnianym kosztem zarządu uczta dla robotników i całego personalu kopalni. Przy dźwiękach orkiestry zabawa w serdecznym nastroju przeciągnęła się do późnej nocy.

W czasie uroczystości dokonano wspólnego zdjęcia fotograficznego, które zamieszczamy w niniejszym numerze.

Ciekawe odkrycie archeologiczne.

Archeologów całego świata zainteresowała żywo nadesłana z Egiptu wiadomość o odkryciu niesłychanie cennych zabytków staroegipskiej kultury, sięgających czternastego wieku przed Chrystusem.

W okolicy starożytnych Teb nad Nilem, gdzie systematycznie prowadzono prace koło wykopalisk od lat 16, natrafili lord Carnarvon i znany badacz przeszłości Egiptu, Howard Carter, pod grobowcem Ramzesa VI na korytarz wiodący do grobu królewskiego pochodzącego z przed trzech tysięcy lat. Sprawozdawca „Timesa" w Kairze powiada, że przy otwarciu grobowca przedstawił się obecnym wspaniały widok: znaleziono sarkofag z kości słoniowej, ozdobiony drogimi kamieniami, skrzynie ozdobione malowidłami przedstawiającymi sceny myśliwskie, tron wspaniałego wykonania, ozdobiony drogimi kamieniami, malowidłami i rzeźbionemi postaciami króla. Za pierwszą komnatą na-





Ciekawe odkrycie archeologiczne: 1) Wejście do odkrytego świeżo przez angielskich archeologów grobowca Faraona Tutankhamona w okolicy Teb w Egipcie. 2) Śniadanie wydane przez lorda Carnarvon na miejscu odkrycia. Przy stole lord Carnarvon, lady Allenby i archeolog Carter.

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segety.

8)

— Mam nadzieję, że żyć będzie — szepnął w końcu — uczułem pod ręką lekkie drżenie serca. Trzeba tylko Maryanno co pięć minut poić go tym wywarem i silnie nacierać stopy i ręce. Czy kto pobiegł po doktora?

— Marcin — proszę księdza proboszcza — odpowiedziała stara służąca — ale doktór nie prędko tu będzie. Do Langeac kawał drogi — a noc taka ciemna. I rzeczywiście, dzień już świtać zaczął, kiedy do pokoju wszedł zmęczony i zdyszany ciężką drogą — doktór pan Tournel. Natychmiast zbadał chorego i oznajmił obecnym, że rany odniesione nie są niebezpieczne, lecz płuca zostały silnie zaatakowane i prawdopodobnie wywiąże się zapalenie płuc.

— Tak, tak — mruczał niezadowolony — zapalenie płuc nieuniknione, chociaż naparzenia księdza proboszcza zrobiły swoje. Ale skąd ta rana w głowie... To wygląda na uderzenie jakiemś ciężkiem narzędziem.

— Nie rozumiem nic — odpowiedział ksiądz Pegrusse. — Zostałem wczoraj zawezwany do markiza de Rochegrise...

— Oh! jednakże wzywał księdza.

— Tak, ale że czułem się chorym, mój wychowanek pod przewodnictwem Marcina Lagarade wybrał się do zamku w zastępstwie mojem. I oto, w jakim stanie powrócił... Marcin twierdzi, że jest to sprawka „złego pasterza", zostali przez niego napadnięci przy Pas-de Cronce.

— Zły pasterz? Głupstwa! Ten Marcin to skończony idyota!

— Dziękuję panu doktorowi — zabrzmiał od progu głos Marcina.

— Ah! jesteś tam, mój przyjacielu?

— Jestem i czekam na opatrunek pana, kiedy pan skończy z księdzem Klemensem.

— To i tobie się oberwało? Chodź tu bliżej.

— Pewnie! On ma silną łapę, panie doktorze...

— Zobaczymy.

Kiedy przy pomocy doktora Marcin ściągnął wełnianą kurtkę i odkrył piersi i ramiona — okazały się na białem ciele chłopca trzy pręgi czarne, nabrzmiałe krwią, pośród ogólnego napuchnięcia mięśni.

— Rzeczywiście, ten co cię uderzył, mój chłopcze, był dyabelnie silnym — mruknął doktór, oglądając ciekawie nabrzmienia.

— Myślę!

— Jednakże zaręczyć ci mogę, że za ośm dni będziesz mu to mógł oddać z nadwyżką. Kość żadna nie złamana... Okładać będziesz ramię wodą, którą ci da ksiądz proboszcz — tylko pamiętaj, nie szachruj, bo będę zmuszony przyłożyć ci pijawki!

— A! niechże Bóg broni — wystraszył się Marcin. — Zrobię wszystko, co pan doktór każe.

— Czy posłano po żandarmów? — zapytał po chwili pan Tournel, którego silnie zastanowił napad uczyniony na księdza.

— A po co? — wtrącił się Marcin. — Żandarmi go nie złapią.

— Ty, mój chłopcze, bądź cicho — ofuknął go doktór. — Idź do kuchni i poproś Maryanny, żeby ci przyłożyła kompres. To cię zaraz uspokoi.

— Pan doktór może sobie gadać co chce, a ja wiem swoje — mruknął jeszcze chłopak, niechętnie cofając się ku drzwiom...

— — — — — — — — — — — — — — —

Dwa dni leżał jeszcze ksiądz Klemens, nie odzyskawszy przytomności.

Dzięki jednak usilnym zabiegom doktora Tournel i otoczeniu, zapalenie płuc, które się wywiązało, miało przebieg dosyć łagodny i uspakajający. Dopomogła również do tego zdrowia silna natura młodego księdza.

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali godziny, w której to wielkie niebezpieczeństwo zażegnane zostanie.

Rany goiły się dosyć szybko i normalnie.

Największe jednak zniecierpliwienie dręczyło pana de Lognes.

Nazajutrz po dokonanym napadzie zjawił się na probostwie pod pozorem omówienia formalności pogrzebu markiza de Rochegrise, ale ani proboszcz, ani ksiądz Klemens nie byli w stanie się tem zająć. Musiał się więc zwrócić do księdza z Langeac.

Pan de Lognes okazał wiele zainteresowania stanem chorego i odchodząc, zapewnił Maryannie, że codziennie zapytywać się będzie o wiadomości.

Szóstego dnia zauważono znaczne polepszenie i ksiądz Klemens blady, wyczerpany, z obandażowaną głową, mógł już na chwilę przy pomocy Marcina przejść w fotel, podczas kiedy Maryanna poprawiała jego posłanie.

Na ten moment właśnie zjawił się pan de Lognes i nalegał tak silnie, aż zaprowadzono go do pokoju chorego.

Na jego widok przykry niepokój zawładnął księdzem Klemensem. Podziękował mu jednak w uprzejmych słowach za pamięć okazaną w czasie choroby.

Pan de Lognes uśmiechnął się życzliwie i pochylając się nad nim, wymówił zniżonym głosem:

— Mam nadzieję, że ksiądz mógł już przeczytać spowiedź, spisaną przez pana de Rochegrise...

— Mój Boże! — zawołał ksiądz Klemens silnie wzruszony nagłem przypomnieniem faktu, o którym w gorączce zapomniał zupełnie — ależ ja nawet w ręce jeszcze nie miałem tej zapieczętowanej koperty.

Pan de Lognes zadrżał.

— Byłoby to wielkiem nieszczęściem — wymówił zduszonym głosem — gdyby te papiery zaginąć miały.

— Czyżby to była moja wina — zaprotestował łagodnie ksiądz Klemens.

Pytanie to wywarło nieprzyjemne wrażenie na panu de Lognes.

— Oczywiście, że tak — potwierdził żywo. — Ksiądz sobie może przypomina, że prosiłem w zamku Rochegrise o wręczenie mi tej koperty, zaznaczając, że markiz cierpiał na manię prześladowczą i był już zupełnie zdziecinniały. To, co tam napisał, pod wpływem egzaltacyi... może wpaść w obce, niepowołane ręce...

— Miałem obowiązek przeczytania tej spowiedzi — bronił się ksiądz.

— Można to było uczynić w zamku... proponowałem przecież przenocowanie.

Ksiądz Klemens był jeszcze taki osłabiony, taki chaos panował w jego obolałej głowie, że pomimo, iż sobie jasno w tej chwili przypominał uczucie nieufności, jakie nim owładnęło w czasie rozmowy w ową noc z panem Lognes — nie był teraz w stanie prowadzić z nim dyskusyi.

— Bóg nie pozwoli, aby rodzinie de Rochegrise stała się krzywda, której się pan obawia — wymówił tylko słabym głosem.

— A jednakże żyje może teraz pod grozą niebezpieczeństw, które na nią spadną.

— Wybaczy pan — mówi z trudem ksiądz Klemens — ale nie byłem przygotowany do tej rozmowy. Myśli mącą mi się jeszcze w głowie... jestem zmuszony przerwać...

W tej samej chwili Maryanna, którą przeciągającą się obecność pana de Lognes przy chorym zaczęła niepokoić, uchyliła drzwi i spojrzała do pokoju.

— Moja Maryanno — przywołał ją skinieniem ksiądz Klemens — czy nie wiecie, gdzie są schowane papiery, które znajdowały się w mojej sutannie w dniu wypadku?

— Ależ myśmy nic nie znaleźli, proszę księdza.

— Nie! — zawołał ze wściekłością intendent Rochegrise, tupiąc nogą w podłogę.

— Pan będzie łaskaw nie krzyczeć tak i nie tupać nogami — odparła zagniewana Maryanna. — Nie pozwolę, aby się pan tak zachowywał przy dwóch chorych w domu!

— Uspokójcie się, moja Maryanno — prosił łagodnie ksiądz Klemens — i proszę odpowiedzieć mi na moje pytanie.

— Księdzu odpowiem zawsze z przyjemnością.

— A więc przypomnijcie sobie dobrze! Czy nikt w domu nie znalazł dużej koperty, zapieczętowanej czarnym lakiem?

— Nie, księże Klemensie. Nikt nic podobnego nie znalazł. Miał ksiądz na sobie same tylko strzępy, nie ubranie. Oh! chce ksiądz to je przyniosę. — Otworzyła szafę i wyciągnęła z niej zawiniątko ze szmat, podartych, zmiętych, nie do poznania.

— Oh! widzi ksiądz: i reszta i wszystko było w takim stanie. Boże drogi! stoczyć się aż na dno tej strasznej przepaści! Szczęście, że Marcin księdza odnalazł. Jakże ksiądz chciał, żeby coś się w tych strzępach znalazło. — Zwinęła przyniesione szmaty i schowała napowrót do szafy.

— Rzeczywiście, stało się wielkie nieszczęście — szepnął ksiądz Klemens, bezsilnie opadając na poduszki. Tymczasem pan de Lognes rozmyślał.

Spowiedź, spisana przez markiza de Rochegrise, nie była w posiadaniu księdza! A więc mogło się stać, że pochłonęły ją na zawsze fale rzeki, lub też, że leży gdzieś na dnie przepaści pod stosem kamieni i śniegu?

Trzeba było więc poczynić poszukiwania i czyniąc to ostrożnie, z rozwagą.

— Niechże mi ksiądz nie ma za złe moich słów — odezwał się po chwili uspokojonym już głosem. — Wie ksiądz, o jaką ważną rzecz chodzi. Trzeba, żeby ksiądz czynił poszukiwania między swojem otoczeniem, ja również szukać będę. Może jednemu z nas uda się odnaleźć tę nieszczęsną kopertę. Byłoby to bardzo pożądanem ze względu na spokój rodziny de Rochegrise! Ale teraz odchodzę już — do widzenia. Jak tylko się znajdzie, proszę mnie uwiadomić bezzwłocznie.

— Przyrzekam to panu — odpowiedział ksiądz Klemens.

Pan de Lognes wyszedł, a po chwili wsunęła się do pokoju Maryanna, mrucząc:

Oh! znam ja dobrze tego ptaszka! To administrator zamku. Nikomu on się nie podoba. Gra rolę pana w Rochegrise, myślał, że i tu będzie mu wolno robić to samo.

XII.

Nazajutrz rano, koło godziny dziewiątej, ksiądz Pegrusse, który tego dnia czuł się lepiej, siedział głęboko zasunięty w fotelu, w pokoju księdza Klemensa. Wesoły ogień palił się na kominku i w pokoju panowała miła i ciepła temperatura.

Na dworze także już było cieplej. Od nocy padał gęsty deszcz z wiatrem, pod którym topnieć zaczynały już wielkie pokłady śnieżne, pokrywające pola.

Proboszcz Pegrusse czuł się tego dnia usposobionym do dłuższej rozmowy.

— Posłuchaj mnie, moje dziecko — mówił, patrząc życzliwie na młodego księdza — widzę, że pomimo uwag dręczy cię jeszcze ciągle ta nieszczęsna sprawa z tą kopertą. Ale wierzaj mi, niepokój, jaki doznajesz z powodu tej zguby, nie jest usprawiedliwiony.

— Staram się go opanować, a jednak...

— Musisz. Umysł twój jasny i sąd rozumny, nie bądź zabawką w rękach ludzi, a zresztą — dodał po chwili milczenia stary proboszcz — wszystko, co pochodzi z Rochegrise jest tak dziwne...

Słowa te wymówione były takim tonem, że ksiądz Klemens zadrżał.

— Ale nie pora wydawać o tem sąd powierzchowny — pośpieszył z zapewnieniem proboszcz. — Użyjmy lepiej ten dzień, Klemensie. Czy możesz wysłuchać dziś zwierzenia, które mi leży na sercu? Dawno już powinieniem przystąpić do tej rozmowy, ale zwlekałem, obawiając się wzniecić niepokój w twojej duszy.

— Więc dlaczego nie chronisz mnie dalej od tego? — zapytał z lekkim wyrzutem ksiądz Klemens.. — Nie pragnę niczego, nie żądam niczego.

— A jeżeli ciąży mój synu na tobie obowiązki pewne do spełnienia?

— Mów zatem ojcze, słucham.

— To, co ci powiem, dotyczy twojego pochodzenia.

— Domyślałem się tego dawno...

— Nie znałem nigdy twoich rodziców, Klemensie, źle może czynię, mówiąc ci o tem tak późno, ale jak wspomniałem, wstrzymywała mnie troska o twój spokój, a teraz... czuję się już bardzo słabym, moje dziecko... dnie moje policzone... sądzę, że jest to najwyższa pora do mówienia.

W tej samej chwili do pokoju weszła stara Maryanna.

— Księże proboszczu, jakiś pan z piękną, młodą panią proszą koniecznie o widzenie się z księdzem proboszczem.

— Czy to są ludzie z okolicy, Maryanno? — zapytał łagodnie ksiądz proboszcz, chociaż odwiedziny o tej porze nie były mile dla niego.

— Nie, nie znam ich wcale. Przybyli zdaleka.

— A więc wprowadź ich tutaj. Jest to najlepszy pokój plebanii.

— W takim razie ja wyjdę — rzekł ksiądz Klemens, z trudem dźwigając się z fotela.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

— Ho! ho! toś ty się już asekurowała na przyszłość! — uśmiechnął się Wanke. — Przezorny z ciebie ptaszek. Ale zgoda! zgoda! Nie będziemy sobie wcale przeszkadzać — prawdziwe „collage moderne"... idziemy z czasem. Tak być powinno u ludzi ściągających do siebie wrażenia skąd i kiedy się da. Tylko że my, ja i ty, Luno, zupełnie odmiennych potrzebujemy wrażeń. Potrzeba ilości może ta sama, ale jakość się różni. Tak, ale i to dobre. „Chacun prend son bien on il le trouve". Zabieramy z życia co nam potrzebne i dobrze nam z tem — prawda?

— O czemże państwo tak filozofują? — zabrzmiał nagle obok nich przewlekły, znudzony głos męzki. — Pani Lunie śleoka iskrzą się jak brylanty prawdziwe, a tobie, mój kochany także oczy płoną, jak zakochanemu studentowi.

— Ah! Leński! — ucieszyła się Luna. — Niech pan siada tu przy mnie. Dobrze, że pan przyszedł, już miałam dosyć tej rozmowy z nim.

— Tout passe, tout casse, tout lasse — uśmiechnął się niedbale nowoprzybyły, umieszczając się z systematyczną powolnością na miękkim, wygodnym fotelu. — A więc maleńka irytacyjka, nieporozumienie — badał spojrzeniem panią Lunę i Wankego.

— Oh! nie — zaprzeczyła gwałtownie — przeciwnie, małe porozumienie.

— Korzystne widocznie dla stron obu, bo macie wygląd ludzi mile podnieconych. Zazdroszczę wam doprawdy! Mnie już nic i nikt podniecić nie jest wstanie. To zaś, coby mnie poruszyć mogło, nie do mnie należy — schylił Leński łysą głowę w wytwornym ukłonie ku pani Lunie.

— Oh! nie krępuj się, mój kochany — odezwał się Wanke. — Wolna droga — zawsze spróbować można. Właśnie godziliśmy się przed chwilą z Luną na to, że człowiek powinien zabierać na własność to wszystko, na co ma ochotę i samo w rękę wchodzi — a wyzbywać się niepotrzebnego już balastu.

— Szeroka i wygodna zasada — anarchizm etyki... a ze sumieniem mój drogi co robić? Odstąpić go także więcej dającemu? Tylko, że na to a natora nie znajdziesz.

Po zniszczonej, bladej twarzy Leńskiego, przesunął się jak gdyby cień żalu i smutku, lecz już wybladłe oczy przysłoniete do połowy zmęczonemi powiekami ożywiły się — wygolone starannie usta ułożyły się w cyniczny, lubieżny grymas.

— Et, — strzepnął ręką, na której jaśniał wspaniały, drogocenny pierścień herbowy. — Apres nous le deluge. Cieszmy się życiem. Może i do mnie ono się jeszcze uśmiechnie, skoro dzięki komunistycznej zasadzie waszej, najpiękniejsza z pereł jest do wyłowienia.

— Stary libertyn — zaśmiała się pani Luna. — A cóż byś ty, Leński, dał za oprawę tej najpiękniejszej perełce? Z pałaców twoich zostały tylko zamki na lodzie.

— A z młodości początki tabesu — zażartował Wanke.

— Hola, hola, przyjacielu, tak źle jeszcze nie jest — próbował się bronić Leński — Uważaj ty, aby cię te żarty za drogo nie kosztowały. Kobiety mają gusta pervers, nie tylko siła i uroda im imponuje.

— Cicho, nie kłóćcie się — przerwała nagle Luna, która z ciekawością rozglądała się po sali. — Patrzcie, kto tam wchodzi! To ta karyatyda, ta Podhorska ze swoim impresaryem Butwiczem. Ale się wyrżnęła! jakie futro! Ciekawam kto teraz za to płacił Bo chyba nie ten jej goły literat! On tylko sztuki dla niej pisać może!

Leński powolnym ruchem założył monokl i spokojnie przypatrywać się zaczął.

— Phi! soczysty kawałek. Dobrze się prezentuje przy świetle. Postawna, ale ciężka jak kolubryna. Nie na nasze zęby, Wanke — co?

— Mów o sobie — odciął się. — Zresztą, to nie mój gust.

— Oh! — zdziwiła się pani Luna. — A ja przypuszczałam, że właśnie nastąpił u ciebie zwrot ku zdrowej naturze... Znudziły cię przecież subtelności... i sztuka.

Wanke wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

— Eh! nudno tu z wami — skrzywiła się pani Luna. — Czas by już chyba zjeść kolacyę — jak uważasz Leński? Ale ty pewnie jak zwykle à sec.

Jasne oczy Leńskiego zabłysły gniewnym połyskiem, rasowe usta już się ułożyły do ostrej jakiejś repliki, ale, że zawsze w najkrytyczniejszych momentach swojego wykolejonego życia umiał z angielską flegmą zapanować nad sobą — i teraz więc suchą swoją twarz w lekko ironicznym uśmiechu zwrócił ku pani Lunie i wyrzekł z dworską grzecznością.

— Rozkazuj tylko królowo, a wszystkie twoje życzenia spełnione zostaną!

— Oh! Czy być może — zdumiała się pani Luna, ujarzmiona trochę zimnym wzrokiem, który na niej spoczął.

— Tak jest — z przyciskiem zaznaczył Leński.

— Cóż to? — wtrącił Wanke — bolszewicy zlitowali się nad tobą i zwrócili ci pałac z przyległościami?

— Pałac mój ostoi się wszystkiemu, z dobrego materyału zbudowany. Nie parweniusze go stawiali. Ale tymczasem proszę was na kolacyę, pani Luna głodna? Nieprawdaż? A ponieważ nudzić się zaczynamy jak zwykle, kiedy jesteśmy we troje — uśmiechnął się Leński nieznacznie — proponuję poprosić do towarzystwa Podhorską z Butwiczem. Lubię obserwować takie typy.

— Doskonale, doskonale! — ucieszyła się pani Luna. — Jest jeszcze giest w tobie, Leński — jest. Będzie świetna zabawa, bo ona glupia jak gęś, a on zmanierowany, niedoszły geniusz! Dawać ich tu, dawać!

— Może Podhorska nie zechce — zauważył Wanke, któremu perspektywa szerszej zabawy, nie bardzo tego wieczoru się uśmiechała.

— Co? ona nie zechce? Ależ ona znana z tego, że par force pcha się w towarzystwa. Sama czuje, że politury jej brak.

— Pani Luna już języczek złośliwy wyciąga — zaśmiał się Leński. — Z tą Podhorską tak znowu źle nie jest. Powiedziałbym nawet, że lepiej się czuje w gabinecie, jak na scenie.

— Dromader, krowienta! — rzuciła pogardliwie pani Luna. — Ale idźże już po nich Leński, bo ktoś obcy jeszcze się do nich przysiądzie.

Po chwili Podhorska i Butwicz już siedzieli przy stoliku.

Podhorska, wysoka, tęga, o regularnej, pięknej twarzy, siląc się na dobry ton i maniery, dominując wzrostem, delikatną, wytworniejszą panią Lunę, mierzyła badawczem spojrzeniem przepysznych, sennych trochę oczu. Już od dłuższego czasu cicha, podstępna rywalizacya wrzała pomiędzy obiema artystkami. Pani Luna darować nie mogła Podhorskiej, że zjawiła się nagle na horyzoncie teatralnym i od razu podbiła krytykę, obejmując pierwsze role bohaterek i amantek. Talent był tu rzeczą uboczną. W grę wchodziły jedynie doskonałe warunki sceniczne, plastyka optyczna, zadawalająca cyzelerów form skulturalnych, no i młodość nie bez pewnego, naiwnego bardzo wdzięku. Wiedziano przytem ogólnie, że wszystkie krytyki pisane o Podhorskiej w formie koleżeńskiej przysługi, wymuszane były przez Butwicza, jej przyjaciela en titre. Podhorska znowu, zazdrościła skrycie pani Lunie jej renomy subtelnej i inteligentnej artystki, wytwornego salonu, w którym skupiała się elita artystycznej arystokracyi, światowego, swobodnego obycia i tualet, którym przy najgorliwszych pomocniczych środkach dorównać nie mogła.

Pani Luna teraz ze złotem pince-nez przy oczach badała krój futra rywalki.

— Niezła kopia płaszcza, który miałam na sobie w ostatnim akcie wczorajszej sztuki — odezwała się w końcu, uśmiechając się pobłażliwie.

Podhorskiej zaiskrzyły się oczy.

— Myli się pani bardzo — odpowiedziała trochę niemiłym, gardlanym głosem — to model od Zwibacka z Wiednia.

— Ah! tak! Nie wiedziałam, że pani jeździła tam teraz. Widywałam panią codziennie w mieście.

— Znajomy jeden mój przywiózł go.

— Szczęśliwy ten znajomy, skoro mógł pani wyświadczyć tak drobną przysługę — wtrącił szybko Wanke, widząc, że zanosi się na maleńką szermierkę słów.

Podhorska zaśmiała się bezmyślnie, wlepiając senne swoje oczy w jego twarz.

— Ja każdemu pozwalam na podobne przysługi — odpowiedziała naiwnie.

— Wzruszająca szczerość — stłumiła wybuch śmiechu pani Luna, zwracając się do milczącego dotąd Butwicza. — A mistrz nasz kochany nad czem teraz pracuje?

— Kazałam mu teraz napisać poetyczną bajkę — wyrwała się Podhorska, która dosłyszała pytanie, a rada była popisać się swoim wpływem nad pisarzem. — Nimfy tam będą, sylfidy... te... jakże to... najady. Rzecz dziać się będzie nad morzem i w morzu. Syrena zakochuje się w prawdziwym człowieku...

— I pani rzeczywiście będzie tą syreną? — podchwycił Leński, który właśnie nadszedł na te słowa, po dłuższej, poważnej konferencyi z kelnerem.

Usiadł naprzeciwko Podhorskiej i rutynowanem okiem taksował jej obfite wdzięki.

— Ale radziłbym pani odbyć przedtem maleńką karlsbadzką kuracyę — dodał z nonszalancyą. — Syreny nie cieszą się tak ponętnemi zaokrągleniami.

Pani Luna nie mogła już zapanować nad sobą i parsknęła srebrzystym śmiechem.

Zawtórował jej Wanke i sama Podhorska, której nie uraził wcale trochę ciężki żart Leńskiego. Butwicz zaś zatopiony w jakichś notatkach, w których grzebał od chwili — podniósł wypłowiałe, zmęczone oczy i zapytał poważnie:

— Z czego się państwo śmiejecie?

Przycichający już śmiech wybuchnął teraz znowu jak rakieta i długą chwilę wzbijał się ponad hałasem sali. Tylko Leński, sam sprawca wybuchu, ze zupełnym spokojem i nadzwyczajną dokładnością zaczął się przypatrywać swoim starannie wypolerowanym, podłużnym paznokciom, a Butwicz powiódłszy pytającem spojrzeniem po wszystkich, wzruszył lekko ramionami i powrócił do swoich papierów.

Podniecony już humor zapanował przy stoliku. Jak szampan musujący po wystrzeleniu z butelki popłynęły kaskady śmiechu pani Luny, żarty, docinki, błyskotliwe, beznyślne półsłówka, wytwarzając doskonałe podłoże do nastroju, podawanej już przez służbę kolacyi.

W pewnej chwili Wanke szybkim ruchem przechylił się przez stół i niespodziewanie wyrwał z rąk zaczytanego Butwicza garść luźnych kartek, które rozsypał po stole wstając.

— Niech nam i tu przoduje poezya i sztuka! Drogi mistrzu, w ręce twoje.

Butwicz bez słowa wypił skwapliwie podsunięty sobie kieliszek i pieczołowicie zaczął zbierać porozrzucane kartki.

— Rozpłacze się jeszcze, jak mu która zginie — szepnęła do ucha Wankego Podhorska, pochylając się więcej jak to było potrzeba ku niemu.

Wanke machinalnie musnął ustami podsunięte mu toczone ramię i wychylił jeszcze jeden kieliszek. Niezadowolenie i nuda pierwszych chwil odlatywać od niego zaczęła.

— Spotkam się z Martą jutro — pocieszył się. — Niema nic straconego. Będzie przystępniejsza jak się wytęskni.

I całą duszą oddał się zabawie, podniecony namiętnymi tonami muzyki szalejącej po sali, przeświecającemi przez cienkie tkaniny różowemi ciałami kobiet i nadzieją jutra kuszącego najśmielszemi marzeniami.

Leński, choć przyjął na siebie rolę gospodarza i ze staropolską gościnnością pamiętał o swoich gościach, potrafił się nimi równocześnie doskonale bawić. Uważny na podanie służby, okiem znawcy przyglądał się każdej potrawie, ganiąc lub chwaląc, a w między czasie drażnił się z panią Luną, podkreślając urodę Podhorskiej i zalecając się do niej poprzez stół, wywołując żałosne, zaniepokojone spojrzenie Butwicza, o którym najmniej wszyscy pamiętali.

Jak zawsze w podobnych okolicznościach, mało rozmowny autor grał tylko rolę widza i konsumenta.

Dziwić się było można nadzwyczajnej jego gorliwości w pochłanianiu potraw i napoi.

Jadł bez programu, mięszając wszystko, majonezy z sałatą, przekąski z kompotem, oblewając pieczyste wódką i winami.

Małą, nikłą jego postać przenikały tylko od czasu do czasu nerwowe drgania, kiedy nad wszystkiemi głosami wzbił się zanadto gardłowy, altowy głos Podhorskiej, popisującej się jakimś niewybrednym dowcipem czy uwagą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STANISŁAW LIPECKI.

PROMYK SZCZĘŚCIA

WSPOMNIENIE Z CZASÓW WOJNY.

Miałem zwyczaj, że każdego dnia po pracy wieczorowej wstępowałem do cukierni Michalika na szklankę herbaty. Gdy pewnego dnia siedziałem sobie wygodnie na kanapce i mimowoli kierowałem wzrok w stronę przychodzących gości, nagle uderzył mię widok twarzy skądś znajomej, aczkolwiek upływ długiego czasu nie dozwalał mi w pierwszym momencie przypomnąć sobie kto on zacz. Widocznie silnie zapatrzony mój wzrok zwrócił jego uwagę, gdyż spojrzał na mnie i w kilku sekundach przypadł z radosnym okrzykiem: Staszek! Również i z mojej piersi wydarło się silnie wypowiedziane słowo „Toldek", padliśmy sobie w objęcia, ustami przywarli do ust i odczułem, że to dziwne po latach spotkanie, rozradowało duszę jego i moją. Usadowiłem drogiego Toldka koło siebie i rozpoczęliśmy długą, do późnej nocy trwającą gawędę. Po pierwszych pytaniach: „Skąd się tutaj wziąłeś". „Gdzie stale przebywasz", „Co porabiasz" i t. p., cofnęliśmy się pamięcią do chwili, w której nastąpiło nasze pierwsze spoikanie i zapoznanie się.

Był to rok 1915, rok, który w swym drugim miesiącu przywdział nam obu mundury wojskowe. On pełnił służbę w pułku tarnowskim, stacyonowanym w Przerowie, ja w pułku nowosądeckim, rozlokowanym we Freudenthalu na Śląsku. Mizerna budowa fizyczna i brak zahartowania na trudy ze służbą wojskową związane sprawiły, że lekarze wysłali jego i mnie celem „Konstatirungu" do szpitala w Ołomuńcu.

Tam, w małym, wilgotnym, prawie że pozbawionym światła korytarzu, natłoczonym „marodami" zapoznaliśmy się. Pamiętam jak przyodziany w błękitny „mantel", z twarzą gorączkowo zarumienioną, z oczami w których przebijały smutek i boleść, mierzył dużymi, zwolna stawianymi krokami, podłużną przestrzeń sali „Zuwachsów".

Widocznie nurtowały w nim trapiące myśli, gdyż z całego sposobu zachowania się, z wyrazu jego łzami zaszłych óczu można było zauważyć raz walkę, to znów rezygnacyę, po chwili widziało się zmaganie z upiorną melancholią, to znowu jak poddawał się ciężarowi smutku. Uważna obserwacya i wysubtelniona wrażliwość mogły z łatwością odczuć te przemiany duchowe, u snującego się wzdłuż sali szpitalnej młodego żołnierza. Oddany do zapomnienia swym własnym myślom, przystawał czasem na chwilę u naroża ścian, rzucał wzrokiem po sali i znowu rozpoczynał monotonną wędrówkę po tej samej ścieżynie kazamaty.

Długo nie odważałem się podejść do mego towarzysza niedoli, aż wreszcie zebrałem się na odwagę i w polskim języku zagadnąłem, czy również oczekuje na szpitalne badanie. Odpowiedział mi życzliwym głosem i tak słowo za słowem, a dzieżgnęła się długa nić ożywionych rozmów. Wspólny los jaki przypadł nam w udziale spowodował, że przez trzechdniowy czas mego pobytu w ołomunieckim szpitalu, nie rozłączaliśmy się ani na chwilę i tak dalece zaprzyjaźnili, że gdy odjeżdżałem czułem w oczach łzy szczerego żalu za pozostałym jeszcze w szpitalu Toldkiem.

Co się później z nim stało, przez długi czas nie wiedziałem, dopiero w r. 1916, gdy pracowałem w biurze wojskowym w Altendorfie na Morawach, natknąłem się przypadkowo na ojca mojego kolegi, również żołnierza, który mi oświadczył, że Toldek uznany za „frontdiensttauglich" odszedł w kilka miesięcy po opuszczeniu szpitala w Ołomuńcu, na włoski front.

W jakże odmiennych warunkach spotkaliśmy się obecnie. Czasy wojny przeminęły, mundurów wojskowych pozbyliśmy się od dawna, a co najważniejsze pozbyliśmy się ich właściciela-zgrzybiałej Austryi.

O jakżesz różne okazało się miejsce dzisiejszego naszego zejścia się ze spotkaniem w Ołomuńcu przed 8 mioma prawie laty. Zaiste dziwne są losu koleje! Przypominaliśmy sobie twarde, goryczą przenikłe czasy poniewierki w wojsku austryackiem, a długa nasza rozmowa potrącała co chwilę jakoś o ów korytarzyk szpitala ołomunieckiego, który zbliżył nas obu do siebie.

Z toku rozmowy dowiedziałem się, że po wyjściu ze szpitala w Ołomuńcu, Toldek w pewien czas potem wysłany na front, ciężko zachorował na zapalenie płuc, które leczył w szpitalu znowu w Ołomuńcu.

Mówiąc o swej chorobie, spostrzegłem w nim dziwne zasępienie. Bez ogródek pytałem o powód dostrzeżonej zmiany i prosiłem, by w opowieści nie uronił ani słówka. Przyznał się, że wspomnienie pobytu w szpitalu przynosi mu zawsze tyle gorzkiego żalu i głębokiej boleści, że chętnie omija ten temat. Dziś jednak przedemną go nie zataił. Mówił zdaniami wolnemi, często przystawał, raz pogodniał, to znów chmurniał, zmieniał się w głosie i wyrazie twarzy, tak, iż widać było, że przedmiot opowiadania stanowi dla niego przeżycie wielce zbliżone do rzeczywistości.

— Kilka dni — mówił — leżałem nieprzytomny. W rozgorączkowanej mej wyobraźni przesuwały się jak gdyby na ekranie najrozmaitsze obrazy, przedziwne w swej treści i rysunku. Oprawą niejako fantastycznych widziadeł i wizyi był bezbrzeżny teren walki, gnący w oparach dymu armatniego, rozgorzały od płonących domostw. Huk strzałów i rozdzierające jęki żołnierzy, przechodzące nieraz w ogłuszające nieludzkie wycia, charmonizowały z okropnym obrazem. W całej tej scenie brałem żywy udział. Byłem mordowany, sam zadawałem rany, pędziłem raz pieszo, to znów na koniu, odrywałem się od ziemi, prowadziłem walkę w powietrzu, w postaci swej olbrzymiałem, za ręczną broń używałem jakichś potwornie wielkich narzędzi morderczych, pełzałem w cielsku strasznego gada wśród snujących się po ziemi gazów trujących, słowem, widziałem się w setkach szybko po sobie zmieniających się filmach.

W siódmym dniu wróciła mi przytomność. Otworzyłem oczy i zdziwionym wzrokiem błądziłem po sali. Leżałem w pokoju sam jeden. U wezgłowia mego łóżka siedziała jakaś młoda, przyobleczona w biały płaszcz szpitalny samarytanka. Gdy spostrzegła, żem otworzył oczy, wstała i wsączyła mi do ust kilkanaście kropel cierpkiego płynu. Orzeźwiałem, przytomność stała się jaśniejszą — zacząłem powoli zdawać sobie sprawę z położenia w jakiem się znajduję. Chciałem wymówić kilka słów — nie mogłem. Przeleżałem tak kilka godzin. Czułem, że siedząca przy mnie osoba ma wzrok swój ustawicznie na mnie zwrócony. Spojrzałem w jej kierunku, wzrok mój zetknął się z jej ciemno-niebieskiemi oczyma, co patrzały tak smutno jakoś, tak wglądały w sedno mej duszy, że poczułem nagle nieopamiętany smutek, który powoli ustępował miejsca wzbierającej radości.

Przez kilka chwil wiedliśmy niemą rozmowę. Po pewnym czasie zadałem jej słabym głosem pytanie: Pani Polka? „Tak — odpowiedziała — ale niech się pan nie wysila, bo może to panu zaszkodzić". Wymówiła te słowa w tak pełnym troskliwości o me zdrowie, tak porywającym tonie i z serca wychodzącym, że uczułem się przeniesiony w krainę nadziemskiego szczęścia.

W pamięci stanęły mi żywo wspomnienia przebytych niedawno trudów wojennych, wstrząsające obrazy z terenu bitew, a równocześnie przeciwstawiłem sobie temu wszystkiemu teraźniejsze moje położenie. Leżałem spokojny, w bezpiecznem miejscu, na wygodnem łóżku, a co najważniejsza, czułem nad sobą opiekuńcze skrzydła mojej pielęgniarki. W drobnej a czarującej tej postaci było tyle powabu, tyle anielskiej słodyczy i dobroci, że prosiłem w duchu Boga, by przedłużał chwile szpitalne przy drogiej mi osobie w nieskończoność.

Po kilku dniach gorączka znacznie opadła — czułem się zdrowszy, silniejszy. Prowadziliśmy dłuższe rozmowy. Dowiedziałem się z nich, że moja cudna Nusia była córką zamożnych rodziców, właścicieli ziemskich z okolic Stanisławowa. Zawierucha wojenna wygnała ich z rodzinnych miejsc i zapędziła do Ołomuńca. Po śmierci brata, który umarł w Gracu z odniesionych ran na wojnie, poszła do szpitala, by odwracać od cierpiących żołnierzy zmorę śmierci. Ciężką służbę pełniła ochotnie i z poświęceniem, z ustawiczną myślą o swym drugim bracie, o którym słuch zaginął — a Bóg to raczy wiedzieć, czy nie leży gdzieś w polowym lazarecie, pozbawiony pomocy i pociech siostry miłosierdzia. — Może Wszechmocny — mówiła — przyjmie me usługi, poświęcone z taką gorliwością i najczystsze intencye pielęgnowania ofiary wojny, nagrodzi na drogim bracie!

Już trzy tygodnie dobiegały końca, jak pozostawałem w szpitalu. Czas ten zaznaczył się na horyzoncie mego życia promienistym szlakiem — rozbłyskiem szczęścia zda się ostatnim. Do mej uroczej samarytanki przylgnąłem całem sercem. Pokochałem ją miłością nieskalaną. Gdy podawała mi lekarstwa, brałem w ręce jej maluchną, jedwabną rączkę i cisnąłem do ust. Było mi niesłychanie dobrze. Mówiłem jej o mych rodzicach, co drżą o swego jedynaka i — jak w listach piszą — proszą Najwyższego, by osobę, która się mną zatroszczyła, obsypał swemi łaskami. Głaskała mię po głowie, dodawała otuchy, zalecała wiarę w Boga, który nikogo w życiu nie opuszcza.

Każdy dzień przy niej spędzony, ryt w mej duszy niezatarte błogie wspomnienie. Trapiła mię jednakże myśl, że koniec szczęścia niedaleki, wkrótce przyjdzie mi porzucić ją, najdroższą. Kadra, a następnie front wydały mi się drobnostkami w porównaniu do strasznego momentu-rozłąki. Z obawami temi zwierzałem się mej Nusi. Ona pocieszała mię jak mogła, o wyjeździe mówić nie pozwalała, a odbywającemu wizyty lekarskie doktorowi pokazywała „Fieberzettel" z groźnemi cyframi: 38.3, 38.4 itp., naturalnie zmyślonemi.

Zaczynał się drugi miesiąc mojej rekonwalescencyi. Czułem się zdrów prawie zupełnie. Wiedziałem dobrze, że gdyby nie wpływy mego Aniola Stróża u lekarza, byłbym już teraz w pułku i gotował się do wymarszu w pole. Och te niezapomniane wieczory szpitalne przy niej spędzone. Ona siadywała przy stole, ja oparty o framugę okna tonąłem w głębinach jej óczu. Wynurzałem się z memi uczuciami, z naiwną, dziecinną niemal radością kreśliłem przed nią obrazy mych zamierzeń na przyszłość, której nie wyobrażałem sobie inaczej, jak z jedyną moją Nusią. Ona słuchała mię z leciutkim uśmiechem na cudnej twarzyczce, policzki pałały jej żywym rumieńcem, a w czarnych źrenicach lśniły dwie perełki. Koło godziny dziewiątej wieczór odchodziła do domu, pomagałem jej zdejmować biały płaszcz samarytanki, ubierałem w niebieskawy żakiecik i życzyłem, by w śnie aniołki grały jej na złocistych harfach ulubioną jej pieśń „Marsyliankę". Przy pożegnaniu całowałem jej rączki, ona jednak wymykała się, pieszczotliwym głosem kazywała mi iść spać i jak zjawa niknęła szybko za drzwiami.

Nagle zjechała do szpitala Komisya lekarska, celem dokonania przeglądu pozostających w leczeniu żołnierzy. Uznano mię za zdrowego i na za utrz miałem odejść do kadry. Wszystko to przyszło tak nagle, że uczułem się dotknięty niby gromem. Przejęła mnie niepojęta bezwładność i rezygnacya. Machinalnie wyciągnąłem z szafy plecak, załadowałem do niego kilka drobiazgów, poczem poszedłem do kancelaryi szpitalnej po odbiór dokumentów. Widok zalzawionych oczów mojej Nusi sprawiał mi niesłychaną mękę. Cobym dał za to — myślałem — gdybym mógł się już znaleźć w pułku i co ma nastąpić za chwilę, mieć poza sobą.

Jeszcze kilka godzin dzieliło mię od czasu wyjazdu. Zebrałem wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie, a było ich czterdzieści koron, zatrzymałem z nich pięć, a za resztę kupiłem bukiet białych róż. Zdenerwowany nie mogłem znaleźć sobie miejsca. W ostatniej chwili przypadłem do mojej Nusi, gorącymi pocałunkami zacząłem obsypywać jej białe rączęta i urywanemi, drżącemi słowy dziękować za te niezapomniane chwile szczęścia, jakie przyniosła mi swoją osobą, oraz za pomoc i opiekę, okazane w czasie choroby. Nie mogłem wśród tego oprzeć się potokowi łez, co cisnął się nieprzepartą mocą do óczu i wybuchnąłem tłumionem łkaniem. Płakałem jak małe dziecko.

Nagle poczułem na mem czole gorący pocałunek i gdym podniósł głowę, dostrzegłem jej gibką postać, ginącą za drzwiami. Otarłem szybko oczy, kwiaty zostawiłem na stole i z plecakiem wyskoczyłem na ulicę. Biegłem jak opętany. W oknie stała ona i powiewaniem chustką dawała mi ostatnie znaki.

W kilka minut siedziałem w pociągu.

Z Przerowa wysłałem jej długi list. Po czterech dniach otrzymałem na niego odpowiedź. Pisała mi, że kocha mnie miłością siostrzaną, że smutno jest jej za mną.

W dwa tygodnie potem jechałem znowu do Ołomuńca, tym razem na jej... pogrzeb... Doniósł mi o jej zgonie jeden z kolegów-żołnierzy szpitala ołomunieckiego. Umarła na tyfus".

Kronika tygodniowa.

Rozpoczynając rok nowy, 1923., znaleźliśmy się w niemałym kłopocie, czy ze żalem żegnać rok stary, a z radością witać nowy, czy też odwrotnie. „Na dwoje babka wróżyła...“ powiada stare przysłowie, a dziś nikt nie potrafi przewidzieć, czy rok 1923. nie da nam się tak we znaki, iż wzdychać będziemy do jego poprzednika, któremu złorzeczyliśmy w kilka dni potem, gdy zeszedł do grobu.

Po raz dziewiąty od chwili wybuchu wielkiej wojny światowej znalazł się kronikarz w tem miłem położeniu, o ile je wogóle można nazwać miłem, aby *ex post* złożyć P. T. Czytelnikom noworoczne życzenia, nie wie jednak że, czego właściwie życzyć. Przepisany kontyngent życzeń wyczerpał już w numerze świątecznym, nie wypada zatem ich powtarzać, w każdym razie życzy sobie i ogółowi, aby ta przyjemna sytuacya, w jakiej się znajdujemy, dzięki następstwom wojny, raz się już przecież skończyła, choćby tylko ze względu na opinię wielkiego mędrca Pańskiego, który powiedział, że „wszystko musi mieć swój koniec“. Żyjemy obecnie w tych warunkach, iż nikt nie jest pewnym, ani dnia, ani godziny, a przyczyniają się do tego przedewszystkiem ci, którzy dostarczają nam wszelkich artykułów, niezbędnych do utrzymania doczesnego żywota. Ci panowie starają się o to wszelkimi siłami, aby doprowadzić stosunki nasze do takiego punktu, aby przeszczepiły się na nasz grunt i silnie zakorzeniły zasady bolszewickie, choć nie zdają sobie z tego sprawy, że się to właśnie na nich samych odbije. Rzeźnicy, masarze, piekarze, kupcy więksi i mniejsi, idą wszyscy ręka w rękę ku temu celowi, aby wywołać jak największe rozgoryczenie w społeczeństwie, sfery rządzące zaś nie potrafią znaleźć środka, mogącego położyć kres ich machinacyom, nie liczącym się zupełnie z interesem ogółu, lecz mającym na względzie jedynie swoje własne korzyści. Z postanowień i rozporządzeń wszelakich władz kpią sobie poprostu i zawsze potrafią postawić na swojem, ogół zaś nie jest tak zorganizowany, aby się im mógł skutecznie przeciwstawić. Jesteśmy w tem miłem położeniu, iż lada dzień czeka nas los naszych najbliższych sąsiadów, naprzykład Rosyi sowieckiej, gdzie trzeba rozporządzać milionami, aby uniknąć głodowej śmierci.

Gdyby ktoś, kto, choćby tylko dziesięć lat temu wstecz, zeszedł z tego świata, znalazł się przypadkiem między nami i, rzuciwszy okiem na tytułową stronnicę *Nowości Illustrowanych*, wyczytał tam, że cena egzemplarza wynosi sześćset marek, złapałby się za głowę, i zdziwienie jego byłoby jednak jeszcze większe, gdyby się w dalszym ciągu dowiedział, że ta kwota wystarczy obecnie zaledwie na zakupienie dziesięciu pudełek zapałek, za które płaciło się dawniej dwanaście halerzy, gdy egzemplarz naszego pisma kosztował szesnaście centów, czyli trzydzieści dwa halerze, nie mówiąc już o tem, że drożyzna w innych kierunkach poszła jeszcze dalej i rośnie z dnia na dzień, w miarę jak przybywa dnia, ale się nie zniża, gdy on się zmniejsza. Gdy dawniej przyzwyczajeni byliśmy liczyć na centy lub halerze, dziś szastamy milionami, a na tysiączkę, na którą dawniej patrzył każdy z nabożeństwem, spoglądamy z nieufnością, wiedząc o tem dobrze, iż za nią kupi bardzo niewiele.

Jedynem zatem życzeniem noworocznem kronikarza jest, abyśmy jeszcze w tym roku doczekali tych, lepszych dawnych czasów, kiedy bułka centowa kosztowała naprawdę centa, aby można się ubrać, mając w kieszeni sto marek, a czynsz za mieszkanie opędzić kilkudziesięcioma. Uważaliśmy za „opowieści Hoffmana“ notatki z czasów oblężenia Paryża w roku 1871., iż naprzykład gęś kosztowała tam wówczas sto dwadzieścia pięć franków, o ileż zatem cenimy się wyżej, gdy dziś, bez oblężenia i po ukończeniu wojny płacić musimy do piętnaście tysięcy marek!...

Zarzucił niedawno ktoś kronikarzowi, że widocznie nie zna obecnych stosunków, skoro narzeka na rozmaite braki, gdy większość jest najzupełniej zadowoloną i niczego jej nie brakuje. Ale ów jegomość zapomniał widocznie o tem, że kronikarz należy na swoje nieszczęście do mniejszości, wprawdzie nie narodowej, ale finansowo sytuowanej t. j. zmuszonej do liczenia się z każdą marką po to tylko, aby się przekonać w rezultacie, że tak budżet miesięczny, jak i roczny, zamknąć się musi deficytem. Mieliśmy, dzięki Bogu, już niemało rozmaitych rządów, mniej lub więcej lewicowych, ale właściwie prawicowego żadnego dotąd nie mieliśmy, rozumiejąc to w tem znaczeniu, iż prawica daje, a lewica zgarnia. Żelazne miotły, nożyce i t. p. artykuły ochronne musiały być widocznie sporządzone z lada jakiego materyału, skoro nie drzyniosły żadnych korzyści, cała nasza nadzieja w nowych zapowiedziach ratunku, jaki nam przyobiecał nowy gabinet jenerała Sikorskiego.

Na dzień 9. stycznia zaproszono do Warszawy wszystkich byłych ministrów skarbu, aby raczyli przybyć z projektami naprawy naszych finansów, bo zawsze co kilka głów, to nie jedna, choćby nawet najmądrzejsza. Swoją drogą powinno się wówczas przedsięwziąść w Warszawie nadzwyczajne środki ostrożności, gdyż nie ulega wątpliwości, że panowie ci zjechawszy się wspólnie, będą zrzucali winę jeden na drugiego, a w rezultacie pokaże się, że sami są niewinni, chcieli bowiem, ale nie mogli. Jenerał Sikorski powinien dla nich urządzić pewnego rodzaju *conclave* i trzymać ich tak długo w odosobnieniu, dopóki nie wymyślą coś naprawdę mądrego, bo dalsze życie w takich warunkach jak obecne, gotowe doprowadzić w kraju do epidemii samobójstw z rozpaczy, na którą nawet tak wysoki urząd, jak Ministerstwo Zdrowia, środka zaradczego nie znajdzie.

A teraz wielkie zapytanie, jak się w dawnych c. k. czasach mówiło, do tronu, kto temu winien, że znaleźliśmy się w podobnem położeniu?... Oczywiście nikt inny, tylko my sami, bo sami przecież wybieraliśmy posłów, którzy przez cztery lata radzili nad tem, aby im samym i ich stronnictwom działo się jak najlepiej. Rozwiązano Sejm Ustawodawczy, rozpoczął swą kadencyę pierwszy zwyczajny Sejm Rzeczypospolitej ale hasło *„pro patria“* zastępuje w dalszym ciągu *„pro partia“*. Ścierają się w dalszym ciągu ze sobą odłamy prawicowe i lewicowe, słyszy się i czyta ciągle o konieczności naprawy Rzeczypospolitej, ale niestety, widzimy znowu, iż ci, którzy się do tego zabierają, to nie uzdolnieni majstrowie, lecz najzwyczajniejsi fuszerzy. Co tu tutaj zresztą mówić o naprawie tego, co jest z gruntu złem i żadne zelowanie lub przyszywanie przyszczypków katastrofie nie zapobiegnie. Nam potrzeba gruntownej reformy i to z obu stron, t. j. tak z góry, jak i z dołu. Jednej bowiem bez drugiej pomyśleć się nie da. Aby chory organizm uzdrowić z jakiejś ciężkiej choroby naprzykład uwolnić go od raka, nie wystarczą na to maści lub inne środki, usuwające objawy chorobliwe, a nie niszczące zła w samym zarodku, ale trzeba noża operacyjnego, tak i w tym wypadku pomyśleć się musi o radykalnej kuracyi, choćby nawet nieprzyjemnej chwilowo, ale jedynie dającej gwarancye pomyślnego rezultatu. Owo konsilium byłych ministrów skarbu, oświecone przez Ducha Świętego znajdzie może taki radykalny środek zaradczy i tego jemu jak i sobie samym z okazyi Nowego Roku z całego serca życzymy.

Z obowiązku kronikarskiego rzucić się musi w każdym razie wzrok poza siebie i zrobić rachunek sumienia z tego, co nam właściwie przyniósł rok ubiegły, który, jak sobie obiecywaliśmy, miał być pierwszym rokiem siedmiu lat tłustych, następujących po chudych. Niestety, zestawienie rachunków przedstawia się bardzo smutno, wykazuje bowiem ciągłe spadanie w każdym kierunku, a nie wznoszenie się. To prawda, że wielu bardzo jednostkom dzieje się dobrze, lepiej nawet, niż przed wojną, ale ogół nie odnosi z tego żadnych korzyści, przeciwnie traci z dniem każdym nie tylko materyalnie, ale i moralnie, każdy myśli tylko o sobie i o tem, aby jemu było dobrze, co się jednak stanie z resztą, nic go to zupełnie nie obchodzi. Naprawiać Rzeczpospolitę czuje się każdy powołanym, ale każdy chciałby to przeprowadzić na swój sposób, t. j. tak, aby z tego sam dla siebie wyciągnął jak największe korzyści. Pokazuje się, że sąsiedzi nasi znają nas aż nazbyt dobrze i że nie pomylili się zbyt, nazywając nas „państwem sezonowem“, gdyż to co się u nas dzieje obecnie przypomina ogromnie stosunki, z jakimi spotykało się dawniej naprzykład w jakiemś stowarzyszeniu, przypuśćmy Straży ogniowej ochotniczej w małem miasteczku, gdzie każdy z członków chciał rej wodzić i kierować wszystkiem tak, jak się jemu podoba. Jeśli jeszcze doda się do tego, że stale dokładamy wszelkich starań, aby się wzajemnie odsądzać od czci i wiary i zohydzać, nie możemy się chyba dziwić, że zagranica patrzy na nas krzywo i stale nam nie dowierza czyli, że sobie samym musimy zawdzięczać, iż w piątym roku naszego samoistnego bytu, należąc terytoryalnie do większych państw w Europie, mamy daleko mniejsze znaczenie polityczne, niż niejedno państewko bałkańskie, nie mówiąc już o daleko mniejszych, ale lepiej zorganizowanych na Zachodzie.

Smutne to, ale prawdziwe, przy nowym roku, choć z bólem serca, musimy sobie to powiedzieć.

I znowu zarzuci kto może kronikarzowi, że zbyt czarno zapatruje się na świat, gdyż tak źle widocznie nie jest, jak stara się przedstawić, skoro ludzie mogą się bawić tak hucznie, jak to dawniej nigdy nie bywało, na swoje usprawiedliwienie powtórzyć musi zatem, że ma przedewszystkiem na myśli ową grupę dawnych burżujów, dawniej nadających ton naszemu społeczeństwu, a dziś klepiących biedę i powtarzających sobie z boleścią: „Panie kochany, zeszliśmy na psy!...“.

Jak każdy medal ma dwie strony, ma je też i społeczeństwo, jedną z nich nazwać można wesołą, a drugą smutną i jej właśnie wyrazem jest kronikarz, zaliczający się w jej szeregi. Jest to, co prawda, znikoma mniejszość, o czem można się było przekonać w noc Sylwestrową, gdy wszystkie lokale rozrywkowe były przepełnione po brzegi, a nadchodzący Nowy Rok, ze względu na ustawy obowiązujące, witano wprawdzie tylko czarną kawą, ale, jak słusznie *Naprzód* zauważa, zbyt mocną, skoro jej skutki widoczne były jeszcze przez cały dzień następny. Kraków się bawi, tak jak się bawią i wszystkie inne nasze miasta, ale bawią się przeważnie sami „ludzie nowi“, którzy na pasku i lichwie dorobili się kolosalnych majątków, robią jedale i żyją tą nadzieją, że się to nigdy nie skończy gdy my natomiast z okazyi Nowego Roku zasyłamy pod ich adresem życzenia, aby się to skończyło jak najprędzej. Gdy Św. Michał otworzy przed nimi gościnnie swe podwoje i zatrzyma ich jak najdłużej pod swemi opiekuńczemi skrzydłami, wyzyskiwana przez nich ludność raz może odetchnie i nastaną znośniejsze czasy, do których tak wzdychamy.

Nowy rząd, zostający obecnie pod kierownictwem jenerała Sikorskiego, zabiera się przyznać trzeba, wcale energicznie do dzieła, ale należałoby sobie życzyć, aby nie skończyło się na samych zapowiedziach, a „słowo ciałem się stało“. Ogromnie przypadło nam do gustu doniesienie warszawskich pism, że nowy gabinet przygotowuje ustawę, mającą pociągnąć wywożących za granicę artykuły żywnościowe przed sądy doraźne, co może wpłynęłoby ochładzająco na tych przemysłowców, o ile oczywiście nowa ustawa nie pozostanie na papierze, lecz znajdzie praktyczne zastosowanie.

Swojego czasu obiecywano lichwiarzom i paskarzom żywnościowym karę chłosty i widzieliśmy wówczas, z jak niepewnemi minami kręcili się po Bożym świecie nasi kupcy zawodowi i amatorowie, a każdy z nich zadawał sobie pytanie, kto też zrobi początek. Nie doczekali się spełnienia tej obietnicy i to ich jeszcze bardziej rozzuchwaliło, od czasu do czasu stawały im wprawdzie przed oczyma rozmaite paragrafy kodeksu karnego, ale umieli sobie zawsze wytłomaczyć, że przecież nic łatwiejszego, jak obrócić paragraf do góry nogami, a będzie zawsze paragrafem, od tego zaś są adwokaci i tym właśnie, dzięki powojennym stosunkom, wiodło się prawdziwie kokosowo, gdyż oni mieli za zadanie ratować swych klientów przed widmem kryminału. Przy sądach doraźnych nie poszłoby to tak łatwo, zanim one jednak wejdą w życie, karnawał tymczasem minie i nic wesołości nie zakłóci, jest ona zresztą bardzo pożądanem antidotum na niepewność, co przyszłość przyniesie. Wśród hucznej zabawy najłatwiej znaleźć zapomnienie tego, co się dzieje koło nas, niestety, nam biedakom, należącym do tej obecnej mniejszości upośledzonej, nie jest to danem, gdyż nas na to nie stać. My o naszej biedzie możemy rozmyślać przy nieopalanym piecu, popijając cienką herbatką zamiast szampana i pocieszając się myślą, że bodaj ustawy nie gwałcimy, racząc się alkoholem w dni zakazane.

trafiono na drugą, w której znaleziono złoty sarkofag, skrzynie i wazy alabastrowe. Za tymi dwiema komnatami znajduje się jeszcze trzecia. Znaleziono zwoje papyrusowe, których odczytanie wyjaśni szczegóły. Zdaje się, iż jest to grobowiec króla Tutanthamona z dynastyi XVIII, który panował w Telelamoru i Tebach od roku 1358 do 1350 przed Chrystusem.

Uczczenie zasłużonego pedagoga.

W historyi polskiej nauki pięknie zapisało się nazwisko dra Leona Kulczyńskiego, długoletniego dyrektora gimnazyum św. Anny w Krakowie i docenta pedagogii na Uniwersytecie Jagiellońskim.



Uczczenie zasłużonego pedagoga: Dr. Leon Kulczyński, długoletni dyrektor gimnazyum św. Anny w Krakowie.

Z górą pół wieku służył on wiernie i sumiennie swojemu społeczeństwu, dzierżąc wysoko pochodnię oświaty, a żywym pomnikiem jego zasług są te tysiące, które pod jego kierownictwem ukończyły swe studya średnie i te setki pedagogów polskich, wyszłe z pod jego ręki na chlubę polskiej nauki.

Urodzony w Krakowie w roku 1847, w rodzinnem swem mieście ukończył gimnazyum św. Anny, następnie Wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, poczem poświęcił się karyerze nauczycielskiej w tem samem gimnazyum, do którego niegdyś uczęszczał. Od r. 1872 pełnił tu obowiązki nauczycielskie z trzechletnią przerwą, którą spędził w III. gimnazyum, w r. 1887 zamianowany został dyrektorem gimnazyum św. Anny i na tem stanowisku wytrwał aż do chwili przejścia w dobrze zasłużony stan spoczynku. Docenturę pedagogii na Uniwersytecie Jagiellońskim, która przez długie lata zastępowała katedrę tego przedmiotu, objął w r. 1881 i prowadził aż do ostatnich czasów, on był inicyatorem i kierownikiem praktycznych kursów dla kandydatów stanu nauczycielskiego w szkołach średnich. Dyrektor Kulczyński pracował również wydatnie na polu piśmiennictwa pedagogicznego.

Korzystając z ustąpienia zasłużonego pedagoga, grono profesorów gimnazyum św. Anny urządziło w dniu 12 grudnia ub. r. pożegnanie, które miało być uroczystością domową tego zakładu, ale zamieniło się na ogólną, wzięły w niej bowiem udział najszersze sfery naszego społeczeństwa, świat naukowy i dawni i obecni uczniowie ustępującego dyrektora-Jubilata.

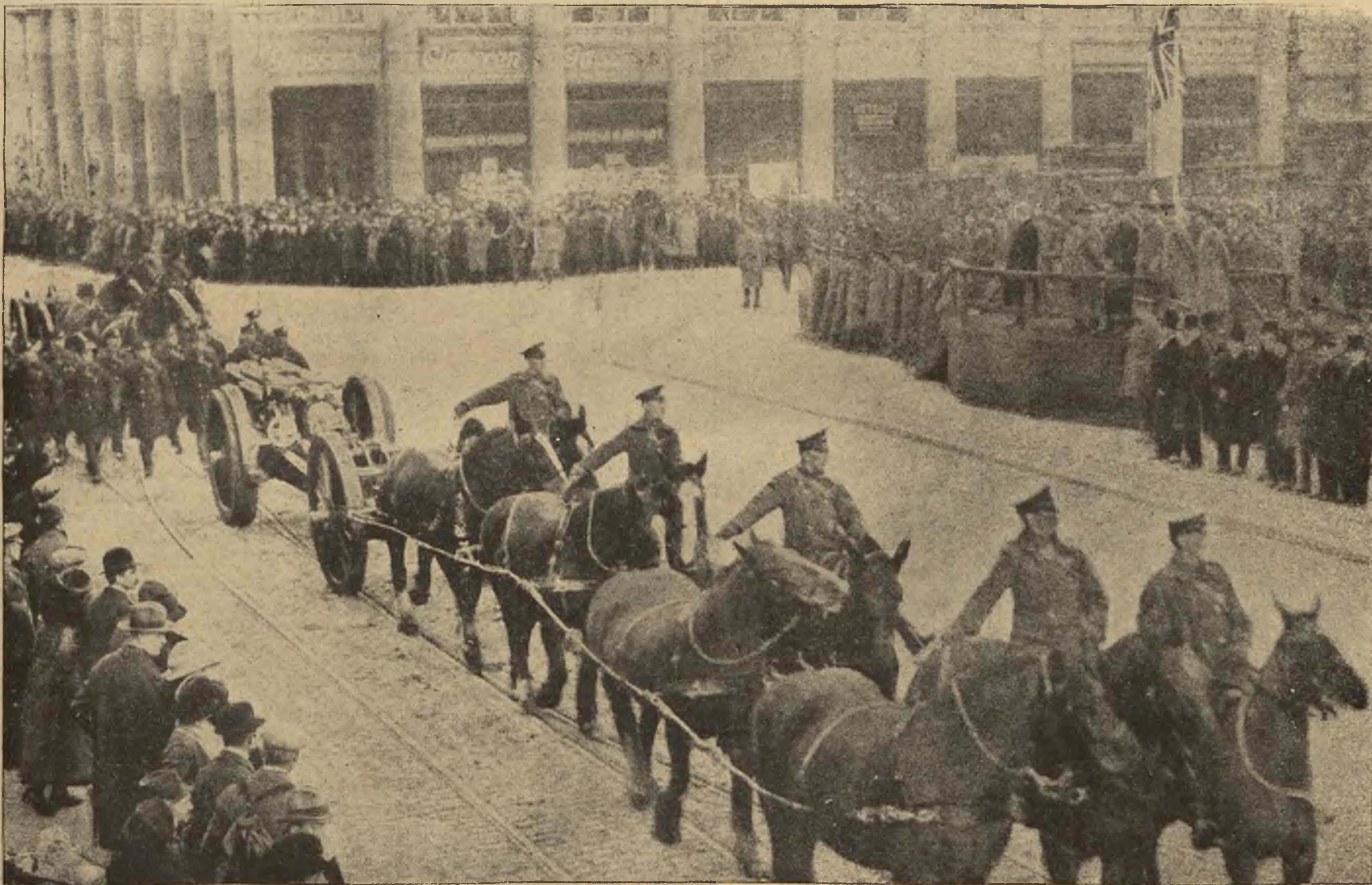


Po konferencyi londyńskiej: Poincare, Bonar Law, Mussolini i Theunis podczas obrad na konferencyi londyńskiej.

Po konferencyi londyńskiej.

W pierwszej połowie grudnia odbyła się w Londynie konferencya zainteresowanych mocarstw w sprawie odszkodowań niemieckich. Wzięli w niej udział premierzy: angielski, Bonar Law, francuski, Poincare, włoski, Mussolini i belgijski, Theunis.

Konferencye polityczne lub ekonomiczne są dziś na porządku dziennym i rozjeżdżają się zwy-



Koalicyjna straż nad Renem: Defilada artyleryi angielskiej w Kolonii przed angielskim ministrem wojny lordem Derby, szefem angielskiego korpusu okupacyjnego jen. Godley i dowódcą okupacyjnych wojsk francuskich jen. Degoutte.

kle bez powzięcia decyzyi, odraczając ją na późniejszy czas, przestało się zatem przywiązywać do nich jakąkolwiek wagę. Ale obecna konferencya londyńska tem się różniła od poprzednich, iż miejsce Lloyd'a George'a zajął Bonar Law, można było zatem przypuszczać, że kierunek angielskiej polityki wobec sojuszników i Niemiec ulegnie pewnej zmianie. Rezultat konferencyi, choć właściwie żadnego nie było, zawiódł oczekiwania. Pokazało się znowu, że każdy rząd angielski, czy to konserwatywny czy liberalny, kieruje się zawsze jedną i tą samą zasadą, polegającą na szkodzeniu temu z państw na kontynencie europejskim, które Anglia uważa za najsilniejsze, lub przynajmniej mające najwięcej danych, aby dojść do tego stanu. Nie zgadza się zatem Anglia na ostateczne załatwienie w radykalny sposób kwestyi odszkodowań niemieckich, wysuwając na pierwszy plan półśrodki, do celu nie prowadzące.

Francya znajduje się w krytycznem położeniu finansowem i ekonomicznem, a nie mogąc się doczekać spełnienia zobowiązań ze strony Niemiec, na które liczono, musi się oglądać za energicznymi sposobami upomnienia się o to, co się jej słusznie należy. Tymczasem Bonar Law, prowadząc dalej politykę swego poprzednika, paraliżuje wszystkie jej usiłowania w tym kierunku, może nie tak grubiańsko, jak Lloyd George, ale w każdym razie dla Niemiec korzystnie. Wykręcają się też one, jak mogą, obiecują wiele, aby niczego nie dotrzymać, a kierownicy polityki cieszą się, że w krótkim czasie będą znowu mieli sposobność zjechać się wspólnie, aby w dalszym ciągu młócić słomę.

Koalicyjna straż nad Renem.

Prawdziwym węzem morskim stała się już sprawa odszkodowań niemieckich. Niemcy udają bankrutów i nie chcą płacić, licząc na ciche poparcie Anglii. Francya dotychczas czeka cierpliwie, ale w opinii francuskiej coraz silniej występuje myśl, że trzeba wreszcie opór Niemców przełamać militarnemi represyami. Kilkakrotnie podejmowano już w tym celu przygotowania w okupowanej przez Koalicyę Nadrenii. Niedawno przybył do Kolonii angielski minister wojny Derby i w obecności jego odbył się przegląd stacyonowanych tam wojsk francuskich, angielskich i amerykańskich. Zamieszczona illustracya przedstawia defiladę artyleryi angielskiej.

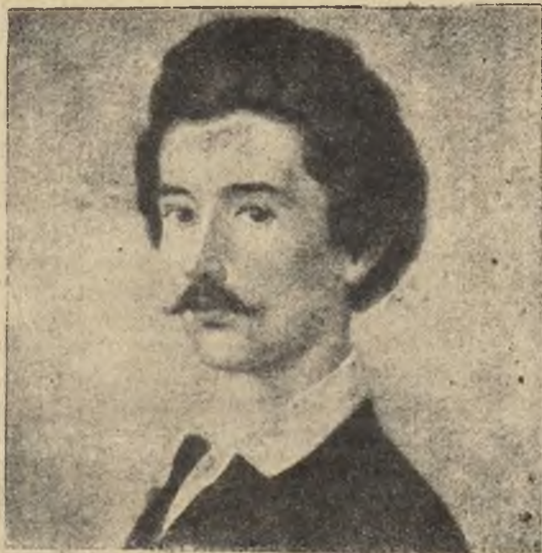
Akademia ku uczczeniu 100-ej rocznicy urodzin A. Petöfi'ego

Krakowski Związek Literatów uczcił w ostatnich tygodniach stulecie wielkiego poety węgierskiego doby romantycznej — Aleksandra Petöfiego, zapalonego rewolucyonisty, piewcy wolności i miłośnika żołnierza polskiego. Uroczystą akademię, która odbyła się w auli Uniwersytetu Jag. przy udziale Senatu, władz, duchowieństwa, wojskowości, ciała dyplomatycznego i wykwintnej publiczności naszego miasta, otworzył przemówieniem prezes krakow. Związku Literatów, prof. dr. Szyjkowski, poczem prof. Dr. Jan Dąbrowski w dłuższem przemówieniu dał sylwetkę Petöfi'ego jako poety, żołnierza i obywatela węgierskiego. Pani M. Malicka wypowiedziała następnie utwory Petöfi'ego w świetnem tłomaczeniu jednego z wybitnych współczesnych liryków polskich Antoniego Waśkowskiego, a p. Węgierko oddeklamował utwory M. Konopnickiej i Or-Ota. Piękne pieśni ludowe i „Hejnał" K. Garbusińskiego do słów Konopnickiej odśpiewał chór młodzieży szkolnej pod batutą prof. K. Garbusińskiego, a orkiestra obok utworów węgierskich odegrała hymny węgierski i polski.

Wieczorem w salach Resursy przy ul Wolskiej odbył się raut, na którym konsul węgierski w Krakowie dr. Stefan Reviczky w serdecznych słowach wyraził podziękowanie Związkowi Literatów na ręce prezesa prof. M. Szyjkowskiego za gorące zajęcie się węgierskim poetą narodowym, dalej rektorom Wł. Natansonowi i St. Estreicherowi za użyczenie auli i wreszcie Ant. Waśkowskiemu za dokonanie trudnego przekładu poezyi Petöfi'ego.



Automobilem przez Saharę: Specyalnie skonstruowany samochód na piaskach pustyni.



Akademia ku uczczeniu 100 rocznicy urodzin A. Petöfi'ego: Węgierski poeta, A. Petöfi.

Automobilem przez Saharę.

Po niezmierzonych przestrzeniach Sahary, tym oceanie ruchomych piasków, do niedawna krążyły jedynie karawany wielbłądów. Tylko te zwierzęta o szerokich kopytach, a niezmiernie wytrzymałe, mogły przedzierać się przez piaski Sahary i zyskały też nazwę „okrętów pustyni". Obecnie do zawodów z niemi wystąpił — automobil, zwycięski rywal koni. Naturalnie do podróży wśród piasków pustyni musiano nadać mu specyalną konstrukcyę o większej liczbie szerokich kół. W ubiegłym miesiącu wyruszyła na takim automobilu w podróż wzdłuż Sahary pierwsza ekspedycya, złożona z Haordt'a, Andoina i Dubrenil'a. Pomimo ogromnych trudności automobil wyszedł zwycięsko z tej pierwszej próby.



Automobilem przez Saharę: Jenerał gubernator Algieru dokonywa w Touggourt przeglądu ekspedycyi, udającej się automobilem w podróż przez Saharę.

LUDWIK AKSMAN

Amerykańsko-Polski Dom Importowo-Handlowy.

Kraków, ul. Dunajewskiego L. 2.

Zdjęcia jubileuszowe w 20-lecie istnienia Firmy.

(Patrz „Nowości Ill." z d. 23. XII. 1922).



Widok zewnętrzny. Okna wystawowe z witrażami kraj. fabryki „Industria".



Salon recepcyjny.



Biuro Dyrektora.



Sekretaryat i Dział „Elliott-Fisher".



Uczelnia pisania na maszynach.



Warstaty reparacyjne.



Fasada sklepu
przy ulicy Szewskiej L. 10.



Wnętrze sklepu
przy ulicy Szewskiej L. 10.





Sprostowanie.

W ostatnim numerze naszego Pisma w ogłoszeniu firmy Ludwik Aksman, zakradł się szereg omyłek drukarskich, które niniejszem prostujemy:

1) Szpalta I. wiersz 11 z góry — zamiast zastąpiłu = *zastąpiła*.
2) „ I. „ 19 z góry — zamiast aueroplanu = *aeroplanu*.
3) „ II. wiersz 3 z góry — zamiast do szycia = *do pisania*.
4) „ II. wiersz 18 z góry — zamiast eksportem = *ekspertem*.
5) „ III. wiersz 1 z góry — zamiast recapcyjnego = *recepcyjnego*.
6) „ III. wiersz 8 z góry — zamiast solidarności = *solidności*.
7) „ III. wiersz 14 z góry — zamiast wartaty = *warstaty*.
8) „ III. „ 14 z góry — zamiast reperacyjne = *reparacyjne*.

Wreszcie firmy zastępowane przez firmę LUDWIK AKSMAN brzmią we właściwej pisowni:

1.) L. C. Smith & Bross Typewriter Comp. (fabryka maszyn do pisania) w Syrakuzie St. Z. A.
2.) Elliott-Fisher Company (fabryki maszyn buchalteryjnych, Harisburg.)
3.) Crown-Ribbon & Carbon, New York (fabryka kalki i taśm marki „Venus“).



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.